



Agata Chmielewska

MOŻE WIEM

Agata Chmielewska

Może wiem

© Copyright by
Agata Chmielewska & e-bookowo

Projekt okładki: e-bookowo

ISBN 978-83-7859-675-2

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2016

[Kup książkę](#)

Prawda jest jak dobre wino. Często
znajduje się je w najciemniejszym
kącie piwnicy.

Michael Dobbs

Rozdział 1

Kaśka otarła spoconą twarz, odrzuciła do tyłu warkocz i, mrużąc oczy, spojrzała w dal, tam gdzie las odcinał się ciemną wstęgą. Przez chwilę przyglądała się zacienionym drzewom, a kiedy nie dostrzegła niczego niepokojącego, ponownie pochyliła się nad bujnymi krzaczkami truskawek. Wybierała każdy kawałek komosy, mleczu i najbardziej zniechęconego perzu, który jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki po kilku dniach wypuszczał nowe pędy.

Mozolnie posuwała się do przodu, a kiedy dotarła do ostatniej kępki, zawracała i znów wygrzebywała trzymające się ziemi korzenie. Kończyła właśnie któryś z kolei rząd, kiedy ponownie usłyszała dziwny odgłos. Miała wrażenie, jakby ktoś krzyczał takim cienkim, rozpaczliwym głosem. Przypatrzyła się ciemności między drzewami, ale nic się tam nie działo. Pomyślała, że to ptak. Co prawda, takie krzyki wydają puchacze, ale w nocy. Teraz zbliżała się dziewiąta godzina, słońce zaczynało niemiłosiernie grzać, więc to niemożliwe, aby puchacze błąkały się o tej porze po lesie.

Jeszcze raz popatrzyła w tamtym kierunku, a kiedy niczego niepokojącego nie spostrzegła, ponownie zabrała się za robotę.

– No – mruknęła do siebie – jeszcze godzinka i pora wracać. Słońce już wysoko na niebie. Matuchna znowu będzie marudziła, że za długo na polu jestem, że robota w domu czeka i że przy mojej chorobie nie powinnam tak długo prze-

bywać na słońcu. Zawsze tylko: tego ci nie wolno, z tym to uważaj, a tego nie rusz. Cholera! – mruknęła ze złością i przeciągnęła brudną ręką po twarzy, ścierając drobniutkie kropelki potu.

Szara pręga została na policzku. Nie zwróciła na to uwagi, tylko mocniej zacisnęła dłoń na drewnianym trzonku, zawzięcie wycinając zielsko wokół sadzonek.

Kaśka lubiła pracę na polu. Uwielbiała wcześniej wstawać i obserwować jak słońce powoli wysuwa się zza horyzontu. Tu miała zupełną swobodę. Mogła podziwiać śpiewające ptaki i sama śpiewać ile dusza zapagnie, bo w pobliżu nikogo nie było, tylko las, pole i niewielkie bagno. W domu musiało być cicho, bo matka ciągle skarżyła się na ból głowy, a latem letnicy przyjeżdżali.

Wreszcie skończyła. Zebrała swoje narzędzia pracy i schowała je w niewielkiej szopie. Wzięła pusty koszyk po śniadaniu, obmyła dłonie w pobliskim bagienku i ruszyła w powrotną drogę do domu.

Słońce wspinało się po błękitnym niebie coraz wyżej i wyżej, smagając wszystko swymi gorącymi promieniami. Dziewczyna raz po raz ocierała kropelki potu zbierające się na czole. Jeszcze kilka kroków i już było widać skryty wśród drzew dom z czerwoną dachówką.

Matka pojechała do miasta, trzeba obiad zrobić, bo na pewno wróci dopiero po południu, a i jakiś lokator miał przyjechać – przypomniała sobie i przyspieszyła.

Kaśka była piękną dziewczyną. Mimo swoich niespełna siedemnastu lat, była bardzo zgrabna. Wysoka, smukła z burzą blond włosów, które zawsze nosiła zaplecione w war-

kocz. Duże błękitne oczy, namiętne wargi i piękny uśmiech niejednego mężczyznę przyprawiał o bicie serca.

Tak, Kaśka była piękna, o tym wiedzieli wszyscy mieszkańcy Ostaszewa. Niejeden miał na nią ochotę, gdyby nie jej choroba, która wszystkich skutecznie odstraszała. Niby to nic strasznego, niby dwudziesty pierwszy wiek, a wiarę w zabobony trudno wykorzenić. Od najmłodszych lat stroniła od rówieśników. Wolała siedzieć w domu, pomagać matce, niż uganiać się z innymi dzieciakami ze wsi. Jedyłą jej rozrywką było patrzenie na konie. Kiedy była mała, tylko jeden gospodarz miał konie, Maciej Dobrowolski. Właściwie, to żaden był z niego rolnik. Miał kilka hektarów łąki. Kosił trawę, suszył i sprzedawał. Nie był z tego żaden zysk, ale jego koniom było za dużo, a szkoda, jak mawiał, żeby siano przez zimę się zmarnowało.

Dobrowolski raz w tygodniu w niedzielę zaprzęgał konie do powozu i jechał z żoną do pobliskiej wsi, gdzie mieszkała ich córka. Wracali wieczorem obok domu Sarneckich. Wówczas Kaśka biegła za nimi, próbując przegonić konie. Czuła ostrą woń końskiego potu, widziała mięśnie prężące się pod skórą i czarne, rozwiane grzywy. Kiedy tak pędziła, wydawało się jej, że sama jest koniem. Przymykała oczy, by lepiej wczuć się w rolę. A gdy powóz skręcał w stronę wsi padała na trawę i ciężko łapiąc oddech głośno się śmiała.

Niestety, Dobrowolski zmarł. Własne konie go stratowały. Kaśka dokładnie nie wiedziała jak zginął. Była za mała. Matka powiedziała, że Pan Maciej umarł, a konie ktoś zabrał. Dopiero niedawno dowiedziała się, że były to konie fryzyjskie. Widziała je w telewizji. Nie mogła od nich oczu

oderwać. Były takie piękne, dostojne i gdy galopowały pęd wiatru rozwiewał ich długie, ciemne grzywy. Wyglądały jak czarne okręty płynące po zielonym morzu.

I o takim koniu marzyła. Wiedziała, że nigdy nie będzie miała konia, nie tylko dlatego, że nie mieli pieniędzy, ale dlatego że jest chora i nigdy nie wyzdrowieje. I tak marzenia o koniu stały się tylko marzeniami.

Spis treści

Rozdział I	5
Rozdział II	9
Rozdział III	13
Rozdział IV	16
Rozdział V	19
Rozdział VI	23
Rozdział VII	26
Rozdział VIII	30
Rozdział IX	35
Rozdział X	39
Rozdział XI	45
Rozdział XII	51
Rozdział XIII	55
Rozdział XIV	59
Rozdział XV	61
Rozdział XVI	66
Rozdział XVII	69
Rozdział XVIII	73
Rozdział XIX	76
Rozdział XX	80
Rozdział XXI	84
Rozdział XXII	88
Rozdział XXIII	94
Rozdział XXIV	97
Rozdział XXV	103
Rozdział XXVI	110

Rozdział XXVII	115
Rozdział XXVIII	119
Rozdział XXIX	125
Rozdział XXX	130
Rozdział XXXI	137
Rozdział XXXII	141
Rozdział XXXIII	144
Rozdział XXXIV	147
Rozdział XXXV	151
Rozdział XXXVI	156
Rozdział XXXVII	160